Rozmaitości

DNIA 8. LUTEGO Ner 6. 1834 ROKU.

WIÉRSZ
NA SZEŚĆDZIESIĄTĄ I SZÓSTĄ ROCZNICĘ URODZIN NAJJAŚNIEJSZEGO, MIŁOŚCIWIE NAM PANUJĄCEGO
CESARZA I KRÓLA
FRANCISZKA I.
DNIA 12. LUTEGO 1834.

Ozwiéj się chwało,
Odbij dziś śmiało
Czystych nieb sklepieniem!...

Witam cię, witam dniu błogi,
Uroczystém pieniem,
Halickiéj ziemi witam Imieniem!...
Witam, jak radość wchodzącą w me progi,
Witam, jak rolnik wita balsam dżdżu w upale,
Pogodę sternik w dzikich wód rozszale...
Tak cię dniu błogi,
Uroczystém pieniem,
Halickiej ziemi witam Imieniem,
Tak cię ja witam, a ze mną i bogi!...

Dniu z nieba zarodny
Zamieszkaj z nami
Szczęścia promieniami!
Błogością płodny,
Przez serdeczną w sercach zażyłość
Przyjm i daj miłość,
Za miłość!.....

Dniu poświęcony pieniom błagania,
W tobie lud święci przedmiot kochania;
W tobie uwielbia Franciszka Imię,
Słodkie owoce Jego panowania,
I to dzieło olbrzymie
I tę kraju potęgę:
Praw księgę;
I te korony najdroższe kamienie:
Uszczęśliwienie!

Trudnym zaiste panowania sposób.
Wszystkich szczęśliwić azaliż podobna!
Jak wieść w cel jeden milijony osób?
Każda dla siebie chce stanąć z osobna.
Każda ma własne i żądze i chęci,
W miarę rozumu, i sferę swéj woli;
Każda bożyszczu samolubnie święci,
O cudze trąca w osobistéj doli.
Jak tyle ogniw związać w jeden spój łańcucha,
I sprzeczność zjednać w zbawiennym zamiarze?
Jak tyle duchów nagiąć mocą ducha,
I szczęściem wszystkich zadzwonić w zegarze?
Któż w ruch powiedzie takie dzieło cudu?

Franciszka ludzkość przez miłość
do ludu! —

Serce człowieka studnią niezgłębioną,
I z tego bezdna czynem na wierzch płynie.
Ale co na jaw ciemne wydobywa łono,
Ma z koniecznością dowolność w przyczynie.
Jednej istoty dwa różne promienie,
Jednego ziarna dwie różne gałązki.
Winy z niewiną przedział bardzo wązki:
Jak z głębi wykryć przyczyny korzenie?...
Zdołaż zakwitnąć ziarno w obowiązki,
W którém, z uczuciem, zamarło sumienie?...
Któż te niewątpne wyczerpał dowody,
Co winą woli, a co kłem przyrody?...
Któż się mógł kiedy podnieść ku tej chwale,
Komuż ta boska w przymiot poszła chwała:
Że kładąc wyrok na ustawy szalę,
Prawdy był pewien, szala nie zadrżała?...
Chwała Mu! Chwała!
Wielbmy Tego Imię,
Co, jak ów Tytus ubóstwiany w Rzymie,
Prawo i słuszność dłucąc w ustaw skale,
Ludzkości dłonią trzyma sądu szalę,
I wina, tylko bierze ukaranie
Przez wolne wyznanie.

Długo w bój dziki szedł człowiek bez przerwy,
I długie wieki rodziły tę chwilę,

W której, poznaniem, wziął owoc Minerwy,
Poddał źwierzęcość rozumowej sile.
Ileżto wieków wieczność nie schłonęła,
Nim czciem z wiedzą wszedłszy w bratnie koło,
Zdołał przez wolne objawić się dzieła,
Prawem i wiarą podniósł w niebo czoło;
Nim go mdła muszka nauczyła w ulu,
Zamieszkać miejsce, bronić miejsca społem,
Nim się posłusznie osadził przy królu,
Zrobił go władzą, siebie władzy kołem.

Długiemi wieki bieżał ten dzień miły,
Co mu swobody niosł błogą pociechę...
Skoro się prawa do człeka zniżyły,
Przyjął je chętnie pod gościnną strzechę,
I kiedy w prawie błysła miłość święta,
Zrzekł się swej woli, dał ją w ustaw pęta...

Ponurem echem brzmi Liknrga chwała,
Ludzkość mu nigdy wieńca nie uplecie;
Pięć wieków Sparta twardem prawem stała,
Jak wichr północy zamroził ją w kwiecie;
Serce ludzkości chętne ku objawie,
Pięć wieków trzymał w kamiennej oprawie.

Miłością święta z człowieczeństwa łona
Dźwignęły ludzkość ustawy *Solona*.
Pieniami bogów zabrzmiały *Ateny*,
Z swobodą weszły na Olimp *Kameny*,
Nóciły w głośnym, nieprzebrzmiałym tonie,
Boską pieśń światom *o boskim Solonie*.

Głosem wdzięczności w uroczystem pieniu,
Nóćmyż cześć, chwałę, Franciszka Imieniu!
Za swobód dary, nieśmy sercem w darze
Błagalne hymny przed Boga ołtarze!
Niech w nieba idąc czystych ofiar wonią,
Na ziemię naszę szczęścia promień ronią;
Niech wiekom wieków głoszą chwały usta:

Miłość ku ludom Franciszka-Augusta!

Z SIELANEK JÓZ. KAL. PAJGERTA:

I.

WIECZÓR DZIERZAWCY.

SIELANKA Z ROXOLANII.

»Patrzaj, luba małżonko, jużto słońce siada,
Na ścianę blask zachodu przez okienko pada,
Upał zwolniał, do swego dzień kresu się chyli,
Azaż słodkiej w przechadzce nie użyjem chwili?
Toż teraz, miła pani, i pora po temu,
I w koło nętny pozór, i chłód wabi k'temu;
I mybyśmy nie barzo wiosny zażywali,
Gdziebyśmy zawżdy ścianom więzić się dawali.«
Tak mówił pan dzierzawca, a wabna nrokiem
Odpowie jemu żona słów gładkich potokiem:
»Anoć to w pięknem polu i ja rozkosz czuję,
I zawżdy k'woli tobie me chęcie stosuje;
Alić bo gdy mnie imiesz to tam, to sam wodzić,
Jakoby na przekorę, coś musi zaszkodzić.
Abo chromam za tobą przez poryte role,
Abo się zbyt zaroszę, abo się ukolę.
Wszak i wczora trzewiczki, cale jako baczę,
Te żółte, zjadła rosa; ach, dobrze nie płaczę!«
Tak mówiła i wrzkomo uśmiechnie się razem;
A dzierzawca takowym ozwie się wyrazem:
»Przedsię, kochana żono, przedsię chodźmy z sobą!
Abo nam już tak miła nie cieszyć się dobą?
Wżdy ja tobie trzewiczków kupię tuzin cały,
Jedno chodź, zanim słońce skryje się za wały.
Siądziem sobie w trawniku, gdzie one dwie sośnie;
Tam ponik w czystym stoku szczebioce radośnie;
Tam chłód w koło, tam pozór, tam łąki, tam gaje,
Tam widok na wsze strony ku sercu przystaje!«
I już nie bawiąc siła, po onej rozmowie,
Gwoli miłej rozrywce poszli małżonkowie.
A szli wedle potoku i polem i krzami,
Aże przyszli, gdzie sośnie szumiały wierzchami.
A już też było słońce dobrze się zniżyło
I blaskiem na około dolinę pokryło.
»Ano,« rzecze dzierzawca, »usiądźmy tu w cieniu,
Usiądźmy, miła pani, owo na wzniesieniu.
Podczas przejść się, a podczas odpocząć nie wadzi;
A tu miejsce po temu i chłod cichy radzi.
Atoli ja ci przódy chusteczkę pościelę;
Snadź wieczorem od rosy już wilgotne ziele.«
To mówiąc podle żony na trawie przylega,
I okiem po przestrzeni to tam to sam biega;
A jako słodka rozkosz zejmuje mu łono,
Tak ją z pełnego serca wynurza przed żoną:
»Temu miejscu dawajmy przed inszemi przodek,
Bowiem i wczasu zażyć dozwala tu chłodek,
I oku przejrzeć snadnie gaje, łąki świeże,
Zkąd pociechy nieszczupłe tkliwy umysł bierze.
Bo sama powiedz, duszko, azaż nie pociecha
Patrzeć, jako tu wdziękiem wszystko się uśmiecha?
Owo łuna słoneczka gubi się w błękicie,
Z nienagła, jako nasze ubiega nam życie!
Tu na chyle pagórka rozrzucone sioło,
Tam staw przestrone wody rozlewa wesoło;
Łąki, okiem nie przejrzeć, snują się kwieciste,
A przez łąki strumyki cieką przeźroczyste,
Cieką nie cichym torem, szemrzą przez kamuszki,
A nad niemi kłębami wznaszają się muszki.
Tu zasię piękne pola, tu gaje, tu bory;
Więc graby, więc smereki, więc szumne jawory,
A za tem duże sosny, jodły niepożyte;
I liściem piękne buki nie skąpo nakryte.

Ale dąb wszystkie insze swą głową przenasza,
Zdaje się, iż się królem w tych lesiech ogłasza.
Ztamtąd gwar bije w uszy, bo ptaszkowie leśni
Wdzięczne świegoty, wdzięczne wyprawują pieśni.
Ale słuchaj, już cicho! do tyla spiewali,
Aż tu stanie się cisza; o przeczże ustali?
Snadź biedne niebożątka w pośrodku spiewania
Ujął sen i co żywo pod liście nagania.
Wżdy już i piękne stada wracają niegłodne,
Toż krówek dojnych siła, toż owieczki płodne;
A za niemi dziewczęta i chłopaki bieżą,
To w przejmy nucą pieśni, to z biczów uderzą.
Ale trzoda do stoku rzuca się po szyję,
Kęs chłopcy wytrzymują, aże się napije;
Brnie więc nawet co płochsze, mętna woda spływa;
A tam owo na stronie piękna krówka siwa
Już się dosyć napiła, postawa i ryczy,
Kwapi się ku niej dziewczę, nagania i krzyczy.
Wreście tłum na przeciwną unasza się stronę,
Skoczą tamże i chłopcy i zganiają one.
Ale dziewice wrzkomo swe nóżki odsłonią,
Idą w bród poniewoli, a sromem się płonią.
W tem na koniach, o patrzaj, chłopcy nadjechali,
Właśnie by naumyślnie dzieweczki zbryzgali;
Teraz precz je unoszą koniki chodziwe,
Ani słyszą, co dziewki prawią żałościwe.
A tego nie widziszli, co bieży wdłuż wody?
Niesie krupkę przeważną, snadź w krupce jagody;
Aż to wierę szaleniec: schwytać mu dziewicę,
I całe jagodami popisał jej lice;
Teraz trwożnie tył podał, a ona mu łaje,
Aże wszystek las chodzi i wszystkie drzą gaje.
Anoć ten inszy lepszy, grzeczniejszy w tej mierze,
Co uzbierał, dziewczynce sam niesie w ofierze;
Ona wrzkomo się wzbrania, ale ón przez dzięki,
Trześnie garścią nieskąpą tka miłej do ręki.
Ale noc już nadchadza, już kosarze z lasu
Kwapią się swobodnego zażyć doma wczasu.
Patrz, jęli nam się kłonić, wszyscy nas kochają,
Bo też z nas, prawdę mówić, dobre państwo mają.
Nie umiemy ich trudy męczyć przytwardszemi,
I jako Bóg przykazał, obchodzim się z niemi.

Ale cóż to za jasność pod onym jaworem?
Może tam się układli ciągnący taborem.
K'woli wieczerzy ogień wielki rozłożyli,
A co grawać świadomszy na dudce im kwili,
Tymczasem wolno z jarzma ich wołki puszczone
Podle nich ogryzają ziółka uroszone.
O widoki prześliczne! rozkosze niepłone!
Toż ja was i w noc ciemną wszystkie nie wspomionę.
Ale dzień już plac dawa grubemu zmrokowi,
Więc i nam przynależy mieć się ku domowi.«
Tak rzekł, a zaś wstawając ozowie się żona:
»Przedsię, mężu, ta rozkosz, jestto rozkosz płona,
Wkrótce nasza dzierzawa już kresu dobieży,
I nam rzucić te strony przez dzięki należy!« —
»Abo,« rzecze mąż zacny, »aboż w inszej stronie
Już się ozdobnym kwieciem nie okrywa błonie?
Wszędy, gdzie bądź będziemy, słoneczko zachodzi.
Dąb zieleni się liściem, i cień się nagodzi;
A w te debrze północy, gdzie słowik nie dzwoni,
Taką noszę otuchę, los nas nie zagoni.«
Zasię rzecze małżonka słowy łagodnemi:
»Wżdybyśmy,« drogi mężu, »byli szczęśliwszemi,
Gdzieby w rychle Bóg łaskaw raczył nam udzielić,
Własną, aby kawałkiem, ziemią się weselić.« —
»O Marysiu!« mąż powie, »toż byłoby grzeczy,
Być spokojną, a boskiej zostawić to pieczy!
Wprawdzie ziemie dziedzicznej nie dały nam losy,
Lecz nie przeto nam winić o srogość niebiosy;
Raczej co Bóg naznaczył, spokojnie czekajmy,
A za to, co już mamy, dzięki oddawajmy.
Abo nam braknie czego? nieskąpo, niehojnie,
Ale głód nie dokucza, nosim się przystojnie;
I trzoda nie pomału co lepsza się mnoży,
I nad pasieką naszą czuwa opiek boży,
I płonem się nagradza zachód koło roli;
Owo zgoła, niesrogiej doznawamy doli.
O niech się puka w złości człowiek zazdrościwy!
Mnie da szczęście ten umysł mój niefrasowliwy.
Nic ja nie dbam, że inszy przodek bierze wszędy,
Że inszy zyska skarby, a inszy urzędy,
Że fircyk przepachniały na balach szaleje,
Abo jakie hrabiątko fraszkami jaśnieje;
Cichy kącik, a w krygach żądze zachowane,
To me szczęście najlepsze, szczęście niezachwiane.
By jedno Bóg nam dobry dał zdrowie niezmienne;
O te ku niemu modły wyprawiam codzienne;
I błagam o to dziecię, które nam darował,
Aby naszej nadzieje zły los nie popsował;
By syn wzrastał, pozyskał u ludzi baczenie,
I czystości do kresu przechował sumienie.«

Tak mówił pan dzierzawca; a podczas rozmowy
Już też byli wrócili w dziedziniec domowy.
Zatem prawi ekonom, co dzisiaj zrobiono,
A klucznica, co mleka do schowku wniesiono.

II.

BRACIA.[1]

SIELANKA Z ARKADYI.

»Słuchajcie, dziatki,« mówił Alkon stary,
»Niebawem pola osłoni zmrok szary,
Łuna już miga przez opoki przedział,
Ktoby się teraz tu w chacie osiedział?
Słońce tak pięknie maluje błękity,
Tak ślicznie Stygu opromienia wody,
Rozjaśnia wzgórki, pozłaca drzew szczyty,
A dołem słodkie przewiewają chłody.

---

1 Mamy wiadomość, że autor większą część dawnych sielanek swoich podobnym sposobem przerobił; a które nie warte były przerobienia, nowemi zastąpił. Przyp. redakcyi.

Toż teraz, kiedy, co trzeba, zrobione,
Owce w koszarach, krówki napojone,
Możem w przechadce użyć wdzięcznej chwili.«

Rzekł; a synowie ochoczo skoczyli.
Damon, najstarszy i hoży młodzieniec,
Pięknej Palmiry od serca kochanek,
Porzucił zaraz i kwiatki i wieniec;
Za nim nadobny, jak w maju poranek,
Albo jak jabłko, gdy dojrzewa w lecie;
Pospiesza Tytyr uczony na flecie;
Ale obudwa Milonek wyprzedza:
Loczki na ramię spadają mu mile;
Hasa i pląsa, a miedza nie miedza,
Leci i goni ulotne motyle.

Tymczasem idąc ważniejszemi kroki
Alkon sędziwy pośród starszych synów,
Przyszedł nareszcie gdzie jawor wysoki
Bujał w półkole mirtów i jaśminów.
»Tutaj, o dziatki!« rzekł starzec poczciwy;
»Pod tym jaworem zatrzymajmy kroku;
Tu mamy z darni wygodne siedzenie.
O jak tu widne rozległe przestrzenie!
Jak miły pogwar przejrzystego stoku!
A w koło bory i łąki i niwy.
Owdzie nasz sąsiad, Medon pracowity,
Kopie i skrzętnie strum ciekącej wody
Przywabia rowkiem pod swoje ogrody;
Tam nad nim czajka skrzydły rozpiętemi,
To wzlata w górę, to spada ku ziemi.
Tam z łona lasu wynikłe skał szczyty,
Mierzchną w pomroce i gubią się w dali;
A tuż nad niemi krąg wielki się pali:
Słonko to nasze! coraz, coraz kona,
I skona wkrótce: o dziatki! ta łona
Mnie przypomina, że za krótką chwilę
I ja tak może w grób głowę pochylę,
I ja tak zgasnę i nie będę z wami!« —
»Ach, ojcze drogi!« rzekł Tytyr z westchnieniem,
A oczy jego zaskliniły się łzami;
»Po cóż tak smutnem dręczysz nas wspomnieniem?
O my to jeszcze wyprosim modłami,
Że tobie wieku przedłużą bogowie!
Tak, ojcze luby, jeszcze długo, długo
Będziesz się cieszył twych synów usługą,
Chowając siły i niezmienne zdrowie!«

A na to Alkon: »O synowie mili,
Spokojnie czekam niecofnionej chwili.
Co człowiekowi niebios Pan przeznaczył,
Tego nasz rozum odmienić nie może.
Śmierć mię nie trwoży; radbym tylko przody
Szczęściem te wasze uwieńczyć zawody.
Mego Damona w ślubne zawieść łoże,
Abym go w parzę z Palmirą obaczył;
A potem tobie, Tytyrze kochany,
Podnieść pochodnie, i ślubne padwany.
Już wtedy wszystko między was podzielę,
Oddam wam sprzęty, i trzody i łany;
Cały mój zasób; wprawdzie to nie wiele,
Ale nie wiele miernej żądzy trzeba;
A pracy w statku błogosławią nieba.
Oddam wam także w opiekę Milona,
Wam jego młodość będzie powierzona:
Wiernie mu jego chowajcie dobytek,
By z ojca pracy miał kiedyś pożytek.
I zawsze, dzieci, uprzejmie, miłośnie,
Gódźcie się z sobą, i sprzyjacie sobie;
I chwast niezgody niech śród was nie rośnie,
A to pociechę sprawi mi i w grobie.«

Tak rzekł; w tem Damon odzywa się młody:
»Po co nas ojcze zachęcasz do zgody?
Czyż my nie bracia? Toż brzydko prawdziwie,
Gdy człowiek swego nie kocha sąsiada,
Kiedy przechodnia nie spotka życzliwie,
I zaufania w nikim nie pokłada;
A cóż dopiero, gdzie jedna krew płynie?
O biada, hańba takowej rodzinie!
I temu, ojcze, coś mówił o dziale,
Daruj, że muszę sprzeciwić się stale:
Wszak wiesz, jak wielkie, jak bogate wiano
Zasobny Mirson za Palmirą daje;
Daje mi sprzęty i trzodę dobraną,
I winną górę, i łąkę, i gaje!
Wszystkiego z lubą mieć będę do sytu,
I już lepszego nie zapragnę bytu.
Zatem twój zasób i twoje staranie,
O pozwól, ojcze, niech braciom zostanie.«

W tem piękny Milon rzecze tym wyrazem:
»Za cóż nas, ojcze, rozdzielasz koniecznie?
Ja z moją bracią muszę zostać razem,
Ja ich obudwu kocham tak serdecznie!
Damon kochany nie raz w lasów cieni
Pokazuje mi, jak stawiać sidełka,
Aby ułowić gila lub szczygiełka;
A Tytyr drogi przegrywa mi pieśni,
On mię wierzbowe uczy strugać fletnie,
Wkłada do grania, i gram już nieszpetnie.
Matka, żem grzeczny, żem dobry, powiada;
A ty chcesz karać? cóżem ja przekroczył?«

A ojciec czuły potok łez wytoczył,
I przed synami tak radość wykłada:
»Jakież to dla mnie rozkoszy wezbranie,
Widzieć serc waszych k'sobie przywiązanie!
O niech wam za to nasz ojciec niebieski
Drogę dni waszych poobściela kwiatem!
Tak właśnie, dziatki, i ja z moim bratem
Kochaliśmy się do grobowej deski.
Ach, już mię rzucił mój Ladon jedyny!
O niechaj lekko nakrywa go ziemia!
Przy chyle skały, gdzie zdrój toczy płyny,
Tam sępny cyprys grób jego zacienia.

Pamiętam dobrze, moje dziatki drogie...
Jeszcze Milona nie było na świecie...
Gdy ostréj zimy wionęły zamiecie,
Pomór uderzył me owieczki mnogie.
Jedna za drugą jak jęły odchodzić,
Padły do nogi, i nic nie zostało.
Ach! darmoż było w żalach się rozwodzić;
Smutku małżonce przyczyniać nie chciałem.
Ale w cichości serce mię bolało;
Ach, przyjdzie zginąć! skrycie powtarzałem.
Aż dnia jednego brat luby przychodzi:
»Słyszałem,« rzecze, »że masz, bracie, szkodę?
Mówią, że pomór wygubił ci trzodę?
Cóż robić! smutek straty nie nagrodzi.
Bądź dobréj myśli, i nie troszcz się wiele:
Ja chętnie z tobą mą trzodę podzielę.«
Tak mówił do mnie, a w tém tertes wielki
Słyszę; tłum trzody na dworzec się wciska:
Owce, barany, jagnięta i jarki,
Pełnią i pełnią dziedzińca kąt wszelki,
A srebrne runo na wszystkich połyska;
Pędził je brata podpastuszy szparki.
Cóż miałem czynić? już przyjąć musiałem,
Bo go nareszcie rozgniewać się bałem.
A potém znowu kiedy z gór niewcześnie
Stopniały śniegi i śrzony i pleśnie,
Mnie moje żytko wymokło przy dole;
Ale już ziarna nie miały me schowki.
Więc brat kochany zradlił moję rolę,
I własném ziarnem pozapełniał rowki.
O niechże błogo pył jego spoczywa,
Z klekotem strugi niech mu słowik śpiewa!«

Tak mówił Alkon, a Damon powiada:
»Ach, ojcze! jutro, jak tylko zadnieje,
I z naszych łęgów ustąpi noc blada;
Na grobie jego kruż wina rozleję!
I będę błagał bóstwa litościwe,
By wnuki jego dni miały szczęśliwe!« —
»A ja,« tak Tytyr odzywa się młody;
»Śnieżnych gołębi zaniosę tam parę,
Wezmę ze sobą dzban mleka i miody,
I złożę cieniom dziękczynień ofiarę!« —
»A ja,« rzekł Milon, »mam kwiatki przy lipie,
Wszystkie pozrywam i na grób wysypię!
O, bracia mili, taką cześć uroczną
Powtórzym zawsze z jaskółką coroczną!

III.

NOEMI W GÓRACH.

SIELANKA Z CHANAANU.

Z domu, z objęcia matki, i z rówieńnic grona,
Niebacznym ślubem ojca w góry zapędzona,
Z włosem na wiatr puszczonym, nóżkami bosemi
Deptała dzikie skały stroskana Noemi.
Tu, zostawiona żalom, i burzom i słocie,
Życia ostatnie chwile trawiła w tęsknocie.
Często, gdy za daleko uniosła się noga,
Nie miała gdzie się schronić przed słońca pożogą;
Często, jak syn Izaka, na twardym kamieniu
Ulgi troskom, lecz darmo, szukała w uśpieniu,
Bo tam blizko hyjeny, tam blizko szakały, [1]
I sowy w skał szczeli nieposępnie hukały.
Nawet pokarmu, który, przez Boga zrządzenie,
Codzień ma od natury najlichsze stworzenie.
Pokarmu nawet losy zajrzały okrutne,
Tak, że nieraz o głodzie schodziły dni smutne.
Piękne córki Syonu! gdybyście ujrzały,
Zapewnebyście siostry waszéj nie poznały!
Już to nie ta Noemi, która niegdyś z wami
Odgłos w ojczystych górach budziła pieśniami;
Która wełny przędzenie, która winobranie
Wdziękiem wam zaprawiała na każde zaranie.
Ach, żal patrzeć, jak wcale zmieniły ją troski!
Ocz ognie zgasły, uśmiech przekwitnął już boski,
Na twarzy smutek blady swój całun rozwinął,
I włos, niegdyś trefiony, dziś w nieład już spłynął.
Tak błądzi w gór przedziałach, lecz choć żal dolega,
Głośna skarga aż dotąd z ust jéj nie wybiega,
Kornie bierze z rąk ojca żółci pełną czarę,
Cierpliwie, jak baranek, idąc na ofiarę.
Lecz raz, gdy na skał urwie siedziała w milczeniu,
Ciężką myślami główkę sparłszy na ramieniu,
Powstała nagle burza, przypędziła chmurę:
Wicher porwał z jéj ramion błękitną purpurę,
Lotnym szybem ku ziemi strzeliły sokoły,
I wraz lunął deszcz gęsty na góry i doły.
Atoli wkrótce niebo pogodą zalśniło,
Lecz nic biednéj dziewczynie już miłem nie było.
I głód, i deszcz, i zimno, i członków znużenie
Żywsze w stroskaném sercu wznieciły cierpienie;
Wstała, westchnęła rzewnie, poszła w dalsze góry,
I zaczęła wynurzać serca żal ponury:

O tęczo, łuku boży, ty córko przymierza,
Pięknie się twój prąg jasny na niebie rozszerza!
Pięknie perłowym deszczem połyskują kwiaty;
I cedry niby nowe przyodziały szaty;
Słowik dzwoni pod mirtem, przepiórka w dolinie,
A strumyk zasilony żywszym pędem płynie.
Wyszedł i rolnik z chatki, obziera swe niwy,
I do Pana za deszczyk podnosi wzrok tkliwy;
Wszystko radością płonie, co żyje na ziemi!
Sama tylko niezbędny żal dźwiga Noemi!
Płacze swojéj młodości, płacze na dzień trwogi,
Gdy się z tobą rozstała, o Semido drogi!
Ach, teraz już poznaje, co to za cierpienie,
Dusz dla siebie stworzonych wieczne rozłączenie!

O mój Semido luby, ja kochałam ciebie,
Jak wiecznie aniołowie kochają się w niebie!
I było za co kochać; ty byłeś mnie stały,
Nad wszystko ceniąc moje ku tobie zapały.

---

1 Lisy azyjskie.

Skromny, hoży, udatny, wdzięczny, urodziwy,
Zawsze słodki w rozmowie, a w duszy cnotliwy,
Szanujesz wiek poważny, i, gdy nędzę zoczysz,
Dajesz wsparcie, ratujesz, lubo łez nie toczysz;
Zdybiesz gdzie błędną owcę, już się starasz pilnie,
By zgubioną właściciel odebrał niemylnie.
Na twoje niwę spieszy wdowa i sierota,
Bo tu się z kłoskowania nagradza robota;
A sam zawsze ty Pann, co źniwa nam darzy,
Niesiesz snopek pierwotny do wonnych ołtarzy.
Nie piękny, mówcie skały! cel mego kochania?
Ale cóż, gdy los twardy żyć z sobą zabrania!
Ach, teraz już poznaję, co to za cierpienie,
Dusz dla siebie stworzonych wieczne rozłączenie!

On bywało pod palmą, gdzie wykopał studnię,
Nie raz mi do stron dźwięku przyspiewywał cudnie:
Jak Tyrsa już po wszystkie trapiła się lata,
Kiedy Abel kochany zginął z ręki brata;
I jak Dyna płakała nad Sychema zgonem;
Kiedy go zabił Lewi z okrutym Symonem.
Spiewał, lecz ja się wtenczas usmiechałam skrycie,
Nie wierząc, aby można tęsknić całe życie.
Lecz teraz już poznaję, co to za cierpienie
Dusz dla siebie stworzonych wieczne rozłączenie!

W domu ojca, u matki pędziłam dni słodkie,
Byłyto dni szczęśliwe, ale nazbyt krótkie!
Bo jak Libanu zdroje prędko w piasku giną,
Nim przez błonia kwieciste dosyć się napłyną,
Tak znika moja młodość! grom okrutny trzasnął,
Szczęścia promień zwodniczy zaświecił i zgasnął.
Wiec jak piękna pasterka, która przy strumieniu
Pielęgnowała kwiatek wdzięczny na wejrzeniu,
Jutro już zamyśliła przypiąć go do łona;
Aż tu burza z północy powiała szalona,
Druzgocze miły kwiatek, a ona łzy snuje;
Tak ja moje nieszczęsną młodość opłaknję.
Ach, teraz już poznaję, co to za cierpienie
Dusz dla siebie stworzonych wieczne rozłączenie!

Tyś, mój ojcze kochany, tyś mój kwiatek zburzył,
Tyś mnie, ale niewinnie, w tym żalu ponurzył!
Ach! gdy rozgłos uderzył: już Jefte zwyciężył,
Benamy, ród obrzydły, który nas ciemiężył,
Już powraca w tryumfie z bitnemi orszaki!
Ja przejęta radością na sławy głos taki,
Leję wodę w miednicę aby omył nogi,
Jak tylko wróci, domu gdy powita progi;
Chleb i wino, baranka, rodzynki, daktele,
Aby siły pokrzepił, chyżo na stół ścielę;
Biorę dziewczęta z gęślą, z arfą i bębenkiem;
Wybiegam: strony słodkim ozwały się dźwiękiem;
Witaj, ojcze! zwycięzco, o sprawco swobody,
Łaską Pana wsławiony pomiędzy narody!
Lecz Boże! cóż się dzieje? zbladł cały na twarzy,
Stanął wryty, a w oku rozpacz mu się żarzy.
Zamilkł; nareszcie przerwał po milczeniu ciszę;
Rzekł: ach, jeszcze nieszczęsna ten głos jego słyszę!
»Ślub mój... o ja niebaczny!... córko nieszczęśliwa!
Ślub mój... ach, daruj ojcu! do śmierci się wzywa!...
Przysiągłem, że gdy zwalczę Amona rycerze,
Pierwsze, co spotkam w domu, dam Bogu w ofierze.
Tyś, córko, pierwsza wyszła; ach, dziecię me lube!
Po cóż było wychodzić! wyszłaś na twą zgubę!«
Rzekł, i rozdarł swe szaty; a dziś z matką społem
Na skłopotaną głowę potrząsa popiołem.
Utul płacz, nie narzekaj, o mój ojcze luby!
Noemi cię o twoje nie obwinia śluby.
Jednak dziś już poznaję, co to za cierpienie,
Dusz dla siebie stworzonych wieczne rozłączenie!

Ale wolno mi jeszcze w tych skałach przebywać,
Wolno przez dni czterdzieści los mój opłakiwać.
Po szczytach Albarymu [1] błądzę od tej pory
Zbieram sobie korzonki, liche sykomory [2],
A jak płocha gazela, lub sarna strwożona,
Tak w myśli mych obłędzie biegam niezmużona.
Wczoraj, gdy mrocznej nocy nastawały chwile,
Spotkał mię tu podróżny, i zapytał mile:
»Izali ty zamierzasz grób znaleźć Mojżesza,
Że tak pędem po górach twa noga pośpiesza?«
Ach, nie, ziomku! ja tutaj płaczę na dzień trwogi,
Co mi zaćmił na wieki szczęścia promień błogi!
Jestem córką Jeftego; Noemi me miano,
Lecz lepiej, aby odtąd Mara mię nazwano; [3]
Bo niebawem, gdy księżyc swoję drogę skończy,
Mnie już wieczysty rozbrat z tym światem rozłączy.
Płaczcie, córki Syonu! płaczcie waszej siostry!
Owę różę w Jerycho już zwarzył mróz ostry.
Ale patrz, w mojej duszy rozkwita nadzieja!
Tchnie rozkoszą, tchnie wonią, jak cała Sabeja!
Jest inne, lepsze życie, i może bez końca!
Gdzie się kłonią pod nogi Wszechmocnemu słońca,
Gdzie Serafow Mirjady pałają rozkoszą,
I Cheruby na arfie moc Jehowy głoszą;
Tam zacznę życie wieczne w moich ojców rzędzie,
Tam kiedyś i mój luby Semida przybędzie.«

Tak Noemi łzy lejąc na bisiorną szatę, [4]
Opłakiwała rzewnie młodości utratę.
Serca posępne skargi góry powtarzały,
Żałośliwiej na klonie grzywacze gruchały;
A Seraf jej miłości łzę jednę uronił,
I smutno jednem tknięciem na arfie zadzwonił.

---

1 Abarym, lub Nebo, góry na wschodniej stronie Jordanu, naprzeciw Jerycho; tu umarł Mojżesz, lecz grobu jego nikt znaleźć nie mógł.

2 Sykomory, dzikie figi.

3 Noemi znaczy w hebrejskim języku: wesoła; Mara: gorzka.

4 *...ce bysse, dont il est tant parlé dans l'Ecriture, est une espèce de soie d'un jaune dore, qui croit à des grandes coquilles.* (*Meurses des Israelites, par Fleury.*)

— Ze Lwowa. —

Galicyja, wraz z Bukowiną, na 4,500,000 ludności posiada 15 drukarń ze 45 do 50 prasami, 3 zakłady litograficzne, 10 księgarń, i kilka znaczniéjszych antykwaryjuszów; wypada zatém na 300,000 mieszkańców 1 drukarnia, a na 450,000 ludności 1 księgarnia. Dodać należy jeszcze, że pomiędzy 15 drukarń, z których we Lwowie 7, w Przemyślu 2, w Samborze 1, w Tarnowie 1, w Bochni 1, w Wadowicach 1, w Czerniowcach 1, a w Żółkwi 1, jest 3 żydowskich (2 we Lwowie, a 1 w Żółkwi); jedna zaś rządowa; a drukarnia stauropigialna we Lwowie drukuje same tylko ruskie książki, mianowicie księgi kościelne.

W Toporowie, miasteczku cyrkułu złoczowskiego, gdzie dotychczas znaki okopów się znajdują, wyd było nie dawno z ziemi działo żelazne. Przy strzelaniu z niego podczas odpustu zraniono wiele ludzi.

Jus gladii. Pomiędzy różnémi z tego wynikającémi przypadkami, zasługuje z dawnych czasów i następujący na uwagę. Pewna kobieta mieszkająca w bliskości cyrkułowego miasta Nowego-Sącza, napiwszy się raz, powróciła do domu z krzykiem i z hałasem. Syn jéj dorosły radził, aby się przespała, na co rozgniewana do kasztelana sądeckiego pobiegła, skarząc się na syna, jakoby ją pchnął. Kasztelan posyła zaraz pachołków po niego i zaraz go bez obrony za ten występek pod rękę kata oddaje. Wytrzeźwiwszy się nazajutrz pyta o syna i z niewymownym żalem o wczorajszém dowiaduje się zdarzeniu.

Dziennik Powszechny (warszawski) z d. 7. stycznia b. r. umieścił następujący sobie nadesłany artykuł: „Pan Podstolic, albo: Czém jesteśmy, czém być możemy. Romans administracyjny w 5ciu częściach przez E. T. Massalskiego, wydany w Wilnie i Petersburgu, 1833. — W literaturze naszéj romans oryginalny niepospolitém jest zjawiskiem, i zasługuje na uwagę publiczności tym bardziéj, iż autor, kreśląc w nim stan społeczny kraju, przez współziomków naszych zamieszkałego, wskazuje jego potrzeby, usiłuje wykorzenić zadawniałe przesądy i naprowadzić na drogę postępu i ulepszenia. Takito cel zamierzył sobie autor Pana Podstolica. Podstoli Krasickiego podał panu Massalskiemu pomysł do tego dzieła. Co Krasicki uczynił dla całego kraju, kreśląc wzór obywatela ziemianina, to pan Massalski zamierzył uczynić dla prowincyj litewskich. Dzieło jego proste w układzie, bogate jest w rozwinięcia i obrazy. Pan Podstolic, godny syn sławnego Podstolego w Krasickim, osiadłszy w Litwie, walczy z zastarzałémi nałogami swoich współobywateli, dźwiga gospodarstwo, korzysta z licznych wynalazków i ulepszeń, z pracą około roli połącza przemysł handlowy i rękodzielny, zbogaca swoich włościan, na ich dobrym bycie opiérając własny, zaprowadza szkoły, zakłada miasteczko, a w niém liczne fabryki. — Za jego przykładem idą sąsiedzi i cała okolica nową postać przybiéra. Ale wprzód, nim zaprowadzi nas autor do błogiéj siedziby Podstolica, smutną, dziwaczną i śmieszną pokazuje nam rzeczywistość. W piérwszym tomie widzimy nędzę wieśniaka litewskiego; nędzę, któréj obraz czytelnikom łzy wyciśnie. W drugim tomie spotykamy świécące się i niezgrabnie nkryte bankructwo pana Chorążego, który nie zna innego sposobu rządzenia, prócz ucisku i zdzierania włościan, i zaciągania coraz to większych długów. Tamże wyszydza autor próżność, krzywe wyobrażenia o rzeczach, duch pieniactwa. W trzecim tomie jest obraz biédnego stanu miasteczek, oszustwa Żydów, upadku handlu i przemysłu. Jak w piérwszym tomie wiele jest czucia i rzewności, tak w dwóch drugich wiele dowcipu. Dwa ostatnie tomy, noszące tytuł ideałów, przedstawiają obraz gospodarstwa i rządów Podstolica. Pan Massalski dając im ten tytuł, chciał wskazać do czego dójść można przy oświacie, pracy, oszczędności i gorliwych chęciach.) Jeżeliby co zarzucić wypadało autorowi, to chyba to, że jego ideały są zbytecznémi ideałami, że w gospodarstwie Pana Podstolica, nagromadzając wynalazki i ulepszenia, jakie duch przemysłowy w naszych czasach stworzył lub zaprojektował, uczynił je trudném do naśladowania. Więcéj do rzeczy w istocie zbliżone, prędzéjby i pewniéj znalazły naśladowców. Ale zbytku w dobrém najsurowsza nawet krytyka nie poczyta za winę. Pan Podstolic łącząc do zbawiennych zamiarów styl łatwy, czysty i przyjemny, i charaktery dobrze skreślone i utrzymane, każdego czytelnika potrafi zająć, a prawdy w nim zawarte nie tylko dla prowincyj litewskich, ale i dla nas przedniemeńskich mieszkańców bardzo przydać się mogą.

Karol Forster, były oficer przy sztabie jeneralnym polskim, wydaje w Paryżu na subskrypcyją Spiewy historyczne J. U. Niemcewicza, przełożone metrycznie przez najlepszych poetów Francyi (między którymi wiele dam się znajduje) i pomnożone wstępem historycznym, tudzież etnograficzno-statystycznémi uwagami. Dzieło to, wychodzące pod tytułem: *La vieille Pologne* i mające składać się z dwunastu poszytów, zaleca się pięknem wydaniem we względzie topograficznym i artystycznym, albowiem w ogóle będzie ozdobione 36 przepysznémi rycinami, przedstawiającémi najsławniejsze sceny dziejów polskich, tudzież nutami muzycznémi. Już wyszło cztery poszyty, z których w piérwszym umieszczony jest wstęp historyczny pióra wydawcy, obejmujący czerpaną z najlepszych źródeł historyją Polski od r. 800 do 1796.

Saphir przestał wydawać redagowane przez siebie pisma *Bazar* i *Horizont*, i wydaje teraz dwa inne dzienniki: *Bairicher Beobachter* i *Münchener Conversations-Blatt*.

Na teatrze paryzkim *des Varietes* robi wielkie szczęście wodewil trzech-aktowy: *Le Sauveur*, napisany przez aktora tego teatru pana Cherin z muzyką Leona Halevy. Wyborną rolę gra w téj sztuce głucho-niemy, przystojny młodzian, który młodą wdowę, panią d'Argens od pewnéj smierci ocala. Długi czas ubiega się za nią, pisze jéj najsłodsze bileciki i uzyskuje jéj miłość, lecz gdy do ustnego porozumienia się przychodzi, piękna wdowa przekonywa się, że kochanek jéj nie słyszy i nie mówi. Pani d'Argens mdleje z przestrachu, lecz w końcu szlachetna miłość zwycięża i wybawcy życia swojego oddaje rękę. Ustępy w téj sztuce są nader dramatyczne, szczególnie zazdrość o matkę głucho-niemego, a wesołe sceny, przeplatające sentymentalną osnowę, wielce się podobają.

Dwa dziełka poezyjne robią teraz w Paryżu wiele wrażenia; z tych jedno: *Les Primevères*, jestto piérwszy utwor wiele obiecującego młodego romantyka, pa. Lhote; drugie: *Les Bigarrures*, napisane jest przez znanego już zaszczytnie liryka, pa. E. Barateau, i zawiera bardzo ładne balady.

Raynouard dając głos swój panu Karolowi Nodier przy wyborze nowego członka akademii francuzkiéj, miał powiedziéć: „Mości panowie, akademija obowiązaną jest zrobić pa. Karola Nodier członkiem swoim, bo prawo starożytności nakazuje żenić się z tą dziewczyną, któréj skromność wystawiono na obmowę.“ Ulubiony ten autor winien krzesło akademiczne usiłowaniom dzienników, które za nim z zapałem przemawiały.

Dzienniki paryzkie doniosły, że panna Lenormand, sławna kabalistka tamtéjsza, ma zamiar porzucić sztukę wróżenia. Umiejętność swoję i gabinet kabalistyczny miała sprzedać pewnéj młodéj damie hiszpańskiéj za 200,000 fr.

Pan Sochet, oficer od inżynierów francuzkich, odkrył nie dawno sposób robienia wodę morską zdatną do picia. Minister marynarki wydał rozkaz, doswiadczać w wielkiéj ilości tego dla żeglugi tak niezmiernie korzystnego wynalazku. Temu samemu oficérowie także winna Francyja urządzenie takich pieców, w których można chléb piéc przy ogniu samych tylko węgli kamiennych, a chléb

z takiego pieca jest równie smaczy, jak gdyby był zwyczajnym sposobem i w zwyczajnym piecu pieczony. Piece Socheta są bardzo używane we Francyi.

W czwartym wieku, za czasów papieża Ś. Damazijusza, kobieta, która przeżyła 22 mężów, poszła za człowieka, co znowu miał już żon 20. Lecz ten przeżył tę ostatnią żonę swoję i widziano go, jak za jéj pogrzebem szedł jako zwycięzca z koroną na głowie i z gałązką palmową w ręku.

Pewien kapitan korsarzów porwał przed kilką laty w okolicy Messyny żonę ubogiemu rąbaczowi drzewa. Trzymając ją kilka miesięcy na pokładzie swojego okrętu, wysadził na ląd na pewnej wyspie Morza Południowego, mało troszcząc się o to, co się z nią stanie. Dziki władzca wyspy, któremu była przedstawiona, rozkochał się w niéj, ożenił się z nią według zwyczaju krajowego, podzielił się tronem, a po śmierci swojéj zostawił jéj rządy swojego kraju. Przez przybyły z Ameryki okręt europejski otrzymał nie dawno ów ubogi rąbacz wiadomość o swojej żonie. Przysłała mu dary rzadkiéj wartości, tak, że stał się jednym z najbogatszych pomiędzy prywatnymi w Sycylii. W istocie stałby się daleko bogatszym jeszcze, gdyby chciał osobiście udać się do królestwa swéj żony.

Zaledwo poznać można Turków, takimi są oni teraz. Tak dalece się ucywilizowali, że do meczetów swoich wpuszczają chrześcijańskich malarzy i budowniczych, którzy licznie bawią w Konstantynopolu dla rysowania pięknych widoków Bosforu. Nie dawno widziano kilku artystów, pracujących na rusztowaniu w meczecie Ś. Zofii, gdzie pierwej żaden chrześcijanin nogą nie postał, bo byłby zapewne ciekawość swoję śmiercią przepłacił. Ostatnią razą dawał sułtan wielką ucztę ciału dyplomatycznemu w Azyi, gdzie wszystko sposobem francuzkim urządzone było; po uczcie zapalono ognie sztuczne, były popisy wojskowe i pokazywano sztuki na linach. Jeżli tak długo potrwa, to sułtan mieć będzie wkrótce operę i balet.

Przed 20 laty przybył do Benares podeszły już Grek, imieniem Dymitr Galanos, w chęci zajmowania się literaturą sęskrycką. Był jednym z tych nie wielu Europejczyków, którzy w samem mieście tém mieszkali. Miano go z początku za ajenta politycznego, lecz rząd przekonał się wkrótce, że cel, do którego się przyznawał, był istotnym jego pobytu. Z niezmierną gorliwością poświęcił się zamierzonej nauce i za pomocą braminów, mimo podeszłego wieku, robił w niéj znaczne postępy. Mnóstwo dzieł przełożył z języka sęskryckiego na grecki, lecz nic nie drukował, do czego z resztą mało miał w Indyjach sposobności. Nikt nie wiedział, jakie były dalsze plany jego, bo mało pokazywał się w towarzystwach europejskich. Umarł zeszłego roku w Benares w 74 roku życia i zostawił bardzo wiele rękopismów, które, celem wydania ich, złożone będą zapewne w któréj z biblijotek europejskich. (Z listu prywatnego z Kalkuty umieszczonego w dziennikach.)

O rozpłodzeniu rośliny *aracacha* zwanéj. Doświadczenia, które w Montpellier, Genewie i Fromont czyniono z sadzeniem rośliny zwanéj *aracacha*, a którą w Kolumbii tak dla jej smaku, jak i dla tego, że jest bardzo lekką do strawienia, nad kartofle przenoszą, miały wypaść pomyślnie, jak pisze dziennik *Recueil industriel*, tak, że jest nadzieja, iż ta użyteczna roślina w południowych departamentach Francyi aklimatyzowaną zostanie. *Aracacha* rośnie wprawdzie w Ameryce pod zwrotnikami, atoli w okolicach, leżących tak wysoko, iż ich średnia temperatura nie przenosi 18° R. Około Bogoty, któréj średnia temperatura także tylko 18° R. wynosi, sadzą roślinę tę w lekkiéj ziemi, w którój jeden krzak od drugiego znajduje się oddalony od 15 do 18 calów. Gdy korzenie téj rośliny nad ziemię wyjdą, tak z niemi postępować należy, jak z kartoflami, to jest: ogartywać je. Kwiat ścinany być powinien, ponieważ łodyga nie kwitnąc wydaje lepsze i dorodniejsze owoce. Anglicy chcą także próbować sadzić roślinę *aracachy*, ale wątpić należy, czy będą tak szczęśliwi, jak Francuzi, ponieważ mgły i wilgoć tak w powietrzu, jak i w ziemi nie zdają się sprzyjać tam téj roślinie. Klimat włoski byłby dla niéj daleko lepszy.

CIĄG DALSZY

PISANEGO NA WIEŚ ZE LWOWA LISTU.

Piszesz mi o twéj niechęci przyjechania do stolicy mimo nie wielkich rozkoszy i na wsi, z przyczyny, że minąwszy już krzyżyk piąty, mało tu myślisz znaleźć znajomości dawnych, a nowych ci się robić nie chce. Na co ci odpowiadam, że myślisz i działasz rozumnie. Późno bowiem i żałośnie jest poznawać nowych ludzi, z któremi już długo nie będziemy; a schodzić się z dawnemi znajomościami, które w nas młodości błogie budzą wspomnienia, nie uwierzysz, jakie tu w mieście licho...

Serce twe przeboleje, umysł wrażeń dozna,
Gdy-ć powiém, że nie wszędzie znajomy cię pozna,
Nie zawsze ć dłoń wyciągnie, wzrokiem na cię rzuci,
I wspomnieniem chwil uszłych związku nie ocuci;
Owszem, choć twe zdziwienie, choć twą litość wzbudzi,
Ten, co cię ściskał w kącie... minie cię śród ludzi...
Tysiączne są przykłady w podobnych zdarzeniach,
Jedne w żywych obrazach, a drugie w odcieniach,
Których widok tak mocno uczucie niweczy,
Że odpycha, nie nęci, dzisiaj ród człowieczy!

I tak ten, z którym z zorzą lat wiosnianych wieku,
Z jednych łąk rwałeś kwiaty, przy czystych wód ścieku,
Z jednéjś się uczył książki, jedną piłką rzucał,
Wspólnieś się latem cieszył — jesienią zasmucał;
Daléj po krótkich złudzeń lat młodych ubiegu,
Złączyliście ramiona w jednych wójsk szeregu...
Z powrotem niwa tylko dzieliła wam pola;
Pociechą była przyjaźń... zatrudnieniem rola,
Lecz, że on był możniejszym, on twą wioskę kupił,
Gdzie się z tobą, jak sąsiad, nie sto razy upił,
Od dziecka tam był chrzesnym — żonie twojéj kumem,
Kochał cię czystém sercem — tyś go strzegł rozumem;
Ten sam gdy cię dziś zoczy w błyszczącym salonie,
Gdzie na szczęścia ludzkiego już zepsuty łonie,
Nie mierząc swym rozsądkiem życia żądzy granic,
Dostatek tylko ceni — mierność nié ma za nic...
Poznaje cię w uśmiechu — twą cnotę w pokorze,
Widzi ukłon — chce oddać — probuje — nie może...
Sam nie wié jak się znaleźć, mija się z twym cieniem,
Znajomość mu ciężarem — przyjaźń, upodleniem...
Lecz go wzrusza nakoniec pewna duszy władza,
Co nas w wyższą od zwiérząt istot kastę sadza,
Rzuca nim... już dłoń ściąga... z duszy głos się tłoczy;
Lecz gdy twa skromna postać uderza go w oczy,
Zwraca się — mimowolnie, nogą naprzód kinie,
Ciebie rzuca na ziemi — sam w tłumie gwiazd ginie...
Lecz na co tykać szczęście — gdy ten co nic nie ma,
Co się tylko jedynie pańskiéj klamki trzyma,
Co to z dudka nauki, upstrzon puchem pawia,
Bytnością śród salonu swą nicość nadstawia,
A twoję człeka wartość z powierzchniéj tłómaczy,
Słysząc ciebie — nie słyszy — widząc, nie zobaczy!...

Westchniéj więc po rozbioru czasów naszych trudzie,
Że tacy śród oświaty pełzają dziś ludzie...
Lecz nie złorzecz im, bracie, choć ich drudzy winią,
Bo ci ludzie, dalibóg! nie wiedzą co czynią.
Ceń ich raczéj, że w związkach, co zdarzenia rodzą,
Tylko cię nie poznają — bo drudzy... i szkodzą...
Znam ja z takich jednego.....

(Dokończenie nastąpi.)

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.